

Agnieszka Wróblewska: Ostatnio opowiedziała nam Pani o początku wojny, o swoich przeżyciach z obozu dla wysiedleńców w Konstantynowie i o robotach przymusowych w III Rzeszy. Chciałabym jeszcze do tego okresu, który Pani spędziła w Niemczech, wrócić. Chciałabym, żebyśmy zaczęli od opowieści o jednym ze zdjęć, które nam Pani dała do zeskanowania. Chciałabym, żeby Pani opowiedziała, co jest na tym zdjęciu.

Felicja Korbik-Szymanowska: Na tym zdjęciu. [F.K.-S. pokazuje zdjęcie AF_MBPKoscian_003_01] To jest domek, gdzie moi rodzice mieli swój pokój. I tu na zdjęciu jest mój tata, Leon Mocek. Z nim gra w szachy Mieczysław Różański, który pracował u kogoś innego, ale tam przychodził do nas, takim po prostu został jakby członkiem rodziny. Tak moich rodziców uważał, takich przyjaciół. I mnie.

A.W.: A w jaki sposób on trafił do Niemiec?

F.K.-S.: On jak trafił? Jego ojciec tam był. Jego ojciec był wojskowym, plutonowym zawodowym. Jego ojciec tam był w tej wsi, pracował w cegielni. Ale później, jak wiem z jego opowiadania, to on przyjechał tam do ojca, a ojciec pojechał do domu, do Kalisza. Byli z Kalisza. I on tam pozostał na miejscu ojca. I później jeszcze się przeniósł do kogoś innego. Takie małe gospodarczko jakieś było, tylko dwie panie tam gospodarzyły, wdowy. I on przychodził najwięcej właśnie do moich rodziców. On też grał w szachy. No bo u nas w domu w zimie zawsze szachy królowały, bo wszyscy bracia grali w szachy. Tylko ja nie chciałam się uczyć, bo to było dla mnie za nudne, za długo.

I nie wiem, nie pamiętam, kiedy zaczęła do nas przychodzić ta gazetka. Tego nikt nie opłacał, bo ja nic nie wiem, żeby tata kiedyś w ogóle wysyłał. W języku polskim przychodziła z Guberni, czyli z protektoratu.

A.W.: Jak się nazywała ta gazeta?

F.K.-S.: „Siew”. Podobno ta gazeta była też w niemieckim języku, że to jakaś rolnicza gazeta. Tak słyszałam. Ale tamtej gazety nie widziałam. No i ta gazeta chyba przychodziła raz w miesiącu. Tak mnie się wydaje, że raz w miesiącu. No i to wszystko było po polsku. Na przykład „Litwo! Ojczyzna moja!” To wszystko przemycali w tej gazecie, takie różne rzeczy. I właśnie tam wtedy był spis, w jednej gazecie był spis tych, którzy zginęli w Katyniu. Ale to tylko było kilkadziesiąt nazwisk. I czytałam właśnie to. No i poznałam znane nazwisko z Kościana. Pan sędzia Prus. Dlaczego ich znałam? Bo mój wuj Olek, on miał z nimi styczność. Ten pan poszedł na wojnę jako rezerwa, a ta pani tu mieszkała, na Alejach

Kościuszki. I ta pani wyprzedawała różne rzeczy, żeby się utrzymać. Miała córkę i jeszcze gospodyni jakaś pani z nią była. No więc wuja niejedno kupował dla mnie: łyżwy, buty, piękny płaszcz. Płaszcz miałam przerobiony, bo już ze starego wyrosłam. To wszystko było robione. Nawet raz czy dwa razy u niej byłam, wuja mnie tam posłał. I dlatego znałam tego pana sędziego, bo miałam styczność z jego żoną. No i właśnie wtedy przeczytałam, że on tam zginął. Po prostu mordercy ogłaszali morderców. To tak było, Niemcy Rosjan. Tak było. I tę gazetę... Tam były różne rzeczy, już nie pamiętam wszystko, ale to mi utkwilo właśnie. No i teraz tak. Teraz mogę sobie czytać swoje, tak?

A.W.: Tak, proszę.

F.K.-S.: Więc jeszcze chciałabym powrócić na chwilę do mojego i moich rodziców pobytu w Magelsen. Wieś mieści się nad rzeką Wezerą. Duża i spławna rzeka. Bogata okolica i dużo zieleni. [00:05:00] Tam nawet pola były ogradzane zielenią, drzewami i różnym tym żywopłotem. Tam było bardzo, bardzo dużo zieleni. Łąki i pola, a łąk było bardzo dużo, bo oni hodowali dużo bydła. Więc u nas gospodarz jak miał 120 mórg, to 80 mórg miał łąki, a 40 pola. To wszystko, krowy były przepędzane z łąki całe lato. Od końca maja, ostatniej części maja, aż do listopada krowy były na łąkach.

I w którymś roku, nie wiem w którym roku, moi rodzice otrzymali życzenia na Wielkanoc i Boże Narodzenie od pani hrabiny Wandy Chłapowskiej z Kopaszewa, która wtedy przebywała w Guberni. Nie wiemy, skąd miała adres moich rodziców w Niemczech. Jej adresu do niej też rodzice nie mieli.

Przyszedł rok 1944. Koniec czerwca: dostajemy wiadomość od wujostwa Olków, że Bolesław został aresztowany, bo on z nimi mieszkał razem. Był w Żabikowie, potem w Oranienburgu, gdzie spotkał kuzyna Mieczysława Olka, który jako więzień był tam lekarzem. Po dwóch tygodniach Bolesław został przewieziony do Bergen-Belsen w Niemczech. Mówił, że to był najgorszy obóz, w jakim był. Była zima 1944-1945. Otrzymaliśmy od Bolesia obozową pocztówkę. Wyrzucił ją gdzieś podczas transportu na jakimś dworcu. Ktoś litościwy ją znalazł i wrzucił ją do skrzynki pocztowej. I tak do nas doszła. Dał nam wiadomość, że jedzie do Dachau. W czasie transportu pomógł w ucieczce sędziemu z Kościana, panu Ciszakowi. Boles nie chciał uciekać, bo mówił, że nie miał siły, żeby uciekać. Pan Ciszak mu proponował, żeby razem uciekali. I prawdopodobnie, nie wiem czy w tym wagonie, zamienili się płaszcami. Bo pan Ciszak miał płaszcz z czerwonym trójkątem, a Bolesław miał bez tego trójkąta. I w tym wagonie jechał też kapo. I teraz problem, czy ten kapo wiedział, jaki który miał płaszcz. Bo byli

tam ściśnięci, cała masa jechali, pod siebie robili. Nie było wiadomo. Więc Bolesław tak się krył przed tym kapo, żeby nie widział, czy on ma tam coś z tyłu, czy nie. Bo jakby zobaczył to i wiedział, o co chodzi, to by go tam zabił. To była kwestia życia i śmierci.

No i teraz chciałam mówić jeszcze o samolotach. W nocy leciały angielskie, a w dzień setki samolotów amerykańskich. To wiem na pewno, bo czytałam nawet o tym gdzieś w jakimś piśmie. Ale od nas, o 6 kilometrów od nas było lotnisko, a na nim myśliwce. Kiedy leciały nad nami bombowce amerykańskie, miały do obrony swoje myśliwce. I wtedy były walki. Strzelali nisko nad nami, bo jedne z drugimi się biły. I teraz pracowaliśmy w polu, a tu leci nisko i powoli uszkodzony bombowiec amerykański. Myśleliśmy, że spadnie na nas, więc biegniemy pod niego. Ale jeszcze poleciał 2 kilometry dalej i wyskakuje z niego trzech pilotów, i lądują na spadochronach, i lądują na ziemi. Samolot spadł, zaczął się palić, a w nim pięciu pilotów. Oni już byli zabici tam w tym i oni już się tam palili. Podobno ten, który wyskoczył ze spadochronem płakał, bo tam był jego brat w tym samolocie. Tak słyszeliśmy, nie wiem czy to prawda. I właśnie u nas był korytarz samolotów, [00:10:00] które leciały na Hanower, Berlin i nawet na Poznań. Jak już coś mówiłam chyba kiedyś, że to wszystko leciało nad nami. Całe setki, błyszczące ptaki w powietrzu. Tylko było to wuu, wuu, wuu. Liczyłam nieraz, ale mi się potem sprzykrzyło liczyć to wszystko. I wtedy zginęło w naszej okolicy czterdziestu dwóch Amerykanów. Mieli wspólny pogrzeb w naszym mieście, Hoya. A teraz dalsze nasze dzieje. Zbliżał się koniec wojny. Czy ja coś ominęłam? Przepraszam.

7 kwietnia 1945: zawitali do nas Anglicy. Wielka radość dla nas wszystkich niewolników: Polaków, Ukraińców, Serbów, jednego Słoweńca i Holendra jednego. I oczywiście wielu Niemców. Nie wszyscy byli Hitlerowcami. Na moich oczach córka Hilda Brüns przyniosła portret Hitlera, podarła na 4 części i wrzuciła do ognia ze słowami – *Koniec z tym draniem*. Syn bauera, Werner, wrócił szczęśliwie z wojny. To był dobry chłopak. 8 maja 1945: koniec wojny. Przyjechał do nas rowerem już na stałe mój brat Czesław. Pracował u bauera 100 km od nas. Prowincja Lippe-Detmold.

I to on dowiedział się, że blisko nas, w mieście Verden, kilka kilometrów od nas, w koszarach wojskowych, zorganizowano obóz pod opieką UNRRA. Dla byłych przymusowych robotników. Tylko nie wiem, jak to... Córka ma napisane, jak tam jest po amerykańsku, ta UNRRA, nie? Tam United, tam coś... Pod koniec maja, oprócz Serbów, wszyscy Polacy i Ukraińcy pojechaliśmy do tego obozu. Niemcy nas tam wozami zawieźli. Otrzymaliśmy mały lokal na 5 osób. Było nas 5 osób: mama, tata, mój brat Czesław, ja – Felicja i 2 lata starszy ode mnie Mieczysław Różański z Kalisza, traktowany jako członek rodziny.

W tym obozie działały się różne rzeczy, na przykład kurs angielskiego. Uczył profesor, elegancki pan, ale tylko 3 tygodnie, bo został kierownikiem obozu i nie miał czasu na lekcje. Oczywiście Czesław, Mieczysław i ja chodziliśmy na ten kurs. Do dzisiaj mam słowniczek z tego kursu. No, takie coś jeszcze mi pozostało. Czasem jeszcze korzystam z niektórych słówek, bo nie uczyłam się potem angielskiego. Pokazać czy nie?

A.W.: Może Pani pokazać.

F.K.-S.: Zaraz, momencik, pokażę go. O, takie coś. [F.K.-S. pokazuje słowniczek: AD_MBPKoscian_003_02] Takie coś. Od 1945 roku to jeszcze istnieje. I czasem wiem, jak po angielsku jakieś słowo tam, no to wiem. *Black, white* i różne tam, takie niektóre rzeczy, to trochę kombinuję tam takie coś, rozumiem to. Powstał tam też chór kościelny, należałam do niego.

Było dużo ślubów i wesel. Przyjęcia były bardzo skromne, ale to nie było ważne. Byliśmy z całą rodziną na takim weselu. Żenił się chłopak z Jasienia koło Kościana. Tata był świadkiem na ślubie, a ja druhną. Były tylko kanapki z wędliną. Wszyscy byli zadowoleni.

Czasem zdawało się, że ktoś brał mnie za Niemkę. Przechodzili koło mnie i mówili: – *Patrz, Niemka tu jest*. Wyglądałam na Niemkę. W naszym wejściu do bloku było Polskie Biuro Wojskowe. Wyszłam na spacer, a pod wejściem stał jeep wojskowy, a w nim polski kierowca. [00:15:00] Przechodzę koło niego i słyszę: – *Czy pani jest Polką?* Mówię, że tak. A on mówi, że mam wygląd Niemki. Przyjechał z oficerem z Londynu. Rozmawialiśmy o nalotach na Londyn, o V-1, o V-2. On mówił, że naloty nie były takie złe, ale gorsze były V-1, V-2, bo nie było wiadomo, gdzie spadną i kiedy spadną. Wyszedł jego oficer i nasza rozmowa się skończyła.

Na przełomie lipca i sierpnia 1945 przewieziono nas do innego obozu, do miejscowości Hülssen. Już tu nawet napisałam Hülssen, żeby przez „ü”, bo to jest „u” kreskowane. Nieraz nie wiadomo, jak to, nie każdy umie niemiecki czytać, prawda? Nad rzeką Aller. Też wielka rzeka, szeroka, olbrzymia, same wiry, wszystko, wysepki, to coś niesamowitego było. I znowu koszary wojskowe. Szkoła motorowa dla marynarzy. Dużo baraków. Międzynarodówka. Wszelkie nacje. Koczowaliśmy przez 2 tygodnie w garażach. Stopniowo niektórzy wyjeżdżali do obozów swoich nacji i nasz transport zajmował ich miejsca. Było nas tam wszystkich około półtora tysiąca. Spora liczba z obozów koncentracyjnych. Było tam dużo dzieci w różnym wieku. Był więzień z obozu koncentracyjnego, nauczyciel z Lubelskiego, pan Misterek. Przetestował wszystkie dzieci i według ich poziomu wiedzy stworzył tam 4 klasy. Między innymi w tej

szkole uczył mój brat Czesław, maturzysta z 1938 roku w kościańskim liceum. I Różański. Różański później jeszcze założył tam harcerstwo. Jeszcze taki obóz harcerski.

Powstał też zespół muzyczny i kółko teatralne. W zespole muzycznym grał Czesław na mandolinie. Romanik z Warszawy też mandolina. Sadowski z Kalisza skrzypce i Ukrainka Olga z Mińska. Piękna dziewczyna. Taka elegancka była. Ładna, bardzo mi się podobała. Ja byłam przy niej jak kopciuch. W repertuarze mieli piękną piosenkę. Nie wiem czy mam ją śpiewać?

A.W.: Może Pani zaśpiewać.

F.K.-S.: Nie wiem, ten mój zardzewiały głos. [śpiew:] „Już były tanga, fokstroty, kankany, / Tańczone pośród rozbawionych par, / I były słowa tęskne, zakochane, / Które budziły w nas miłosny żar. / Lecz dziś jest wojna, piosnek nikt nie tworzy, / To zmarnowanie naszych młodych lat. / Dziś piosnkę nową z podniesioną głową / Zanucili bracia zza niemieckich krat. / Niewolnicze tango budzi w nas wspomnienia, / Niewolnicze tango ludzkiego cierpienia, / Stalowe bagnety i strażników twarze. / Wolność, ciebie wzywam, ja o tobie marzę. / Murzyn niech weźmie swoje ukulele, / Na saksofonie zagra Czech lub Belg, / Anglik lub Francuz niech zawodzą trele / [00:20:00] I tak powstanie fantastyczna pieśń. / Polak batutę niechaj weźmie w dłonie, / Do rozpoczęcia da nam wszystkim znak / I tak się złączym melodią płaczącą / Kolegom, którym dziś wolności brak. / Niewolnicze tango budzi w nas wspomnienia, / Niewolnicze tango ludzkiego cierpienia, / Stalowe bagnety i strażników twarze. / Wolność, ciebie wzywam, ja o tobie marzę. / Lecz kiedy przyjdzie chwila, że kajdany prysną / I powrócim w swój ojczysty kraj, / Usta me zanucą niewolnicze tango / I wtedy wspomnę swe zakratne dni.” Piękna piosenka. Jak oni z tymi mandolinami, z tym wszystkim. Mój brat miał mandolinę. Ja się uczyłam też na tej mandolinie. Grałam nawet na tej mandolinie jakiś czas. Teraz.

W kółku teatralnym graliśmy to, co kto umiał. Różne piosenki i skecze. Ja tam miałam te swoje skecze jeszcze od kiedyś. Właśnie jeden skecz miałam nawet razem z Różańskim. Także nawet do sąsiedniego obozu jechaliśmy. Oni przyjeżdżali i też tam do nas przychodzili. Bo tych obozów było tam bardzo dużo. I w końcu wystawiliśmy sztukę pod tytułem „Družba”. To był cały teatr. Reżyserem był doktor prawa, Żyd z Warszawy. Były więzień obozu koncentracyjnego. Wspaniały człowiek. Nazwiska nie pamiętam, on miał jakieś niemieckie nazwisko. I w tej sztuce grałam główną rolę. Ja żeniłam syna. Syn był dużo starszy. Właśnie pan Misterek był moim synem, ten nauczyciel.

I też zorganizowano kurs motorowy na prawo jazdy. Były 3 grupy. Jedną grupę prowadził pan Romanik, inżynier z Warszawy. Drugą grupę pan Staneczko, był ze Śląska. Trzecią grupę

prowadził pan Klatkowski, taksówkarz z Łodzi. Chodziliśmy na ten kurs wszyscy trzej: Czesław, kolega Mieczysław i ja – Felicja. Należałam do grupy Klatkowskiego. Do nauki były tam różne części. Bo to była szkoła motorowa dla marynarzy. Jakie tam przepiękne części, wszystko było, to coś niesamowitego. I do nauki były tam różne części samochodów. Nawet całe szkielety. Myśmy tam mogli nawet manipulować. Tak było tam ładnie. To było bardzo wspaniałe. Anglicy obiecali nam nawet paliwo do jazdy, ale niestety wycofali się z tej obietnicy. Więc wiele osób wycofało się z tego kursu. Nie będzie jazdy, to się wycofało. Nasza trójka nie zrezygnowała. Chodziliśmy do samego końca. Kurs trwał 2 miesiące. Na kurs chodziły tylko 3 dziewczyny, w tym ja. Sami chłopacy byli. Jeszcze ta jedna była w ciąży nawet. Świadectwo ukończenia kursu nam dziewczynom wręczał angielski kapitan. Nazywał się Polter. To była władza angielska. Proszę. [F.K.-S. pokazuje zaświadczenie o ukończeniu kursu samochodowego: AD_MBPKoscian_003_03] Tu jest moje prawo. Miał tłumacza przy sobie. I kiedy mnie wręczał, powiedział: – *Nasza najlepsza aktorka*. Bo kiedy graliśmy sztukę, tego „Druzbę”, on był tłumaczem na tym przedstawieniu i widział, jak gram. [00:25:00] Jak aktorka. Potrafię to. A mężczyznom świadectwa wręczali ich wykładowcy.

Pewnego dnia pan Misterek, nauczyciel, wyjechał do Polski. Nie transportem, tylko sam. Przez zieloną granicę. Bo tak pojedyncze osoby jechały. Mieli tylko plecak czy coś. To tak mogli sobie iść. Ale jak myśmy mieli dużo bagażu ze sobą, no to musieliśmy czekać na normalny transport. Zabrakło nauczyciela w szkole. W obozie był podporucznik Wesołowski, nasz polski opiekun wojskowy. Namawiał mnie do nauki w szkole. Nie chciałam, bo wiedziałam, że nie mam kwalifikacji do tego. I nie było tam żadnej pomocy naukowej. No ale przyjełam. Męczyłam się z tym krótki czas. Uczyłam drugą klasę. Ale w końcu wybawił mnie z tego jakiś pan magister i zastąpił mnie. Przecież to była mordęga. Dzieci były w różnym wieku. Najmłodszy w klasie miał 9 lat, najstarszy miał 16, a ja miałam 17 i pół. No to byli brojarze. Nie mogłam sobie poradzić z nimi. To wołałam potem nauczyciela. Obok w klasie uczył właśnie Różański. To wtedy powiedziałam: – *Czekajcie, ja wam pokażę*. Druh przyszedł, wykrzyczał na nich i trochę się uspokoił. I tak było. Był tam też klub gry w siatkówkę. W siatkówkę też grali. W tym obozie panowała taka rodzinna atmosfera. Tam mieliśmy dużo znajomych. Tak w ogóle ten obóz był taki jakiś rodzinny.

W obozowej kuchni źle się działo. Były skargi ludzi, że z personelu ktoś tam kradnie. Wtedy podporucznik Wesołowski prosił moją tatę, żeby objął tam kierownictwo. Tata zgodził się pod warunkiem, że sam sobie dobierze pracowników. To nie była praca za pieniądze, tylko za deputat. Tam nikt nikomu nie płacił za naukę. To były tylko deputaty. Nawet ja nie dostałam

żadnego deputatu, bo tylko byłam na zastępstwo troszeczkę. Raz w tygodniu deputat: chleb i jakieś tam, wędlina czy coś. Już po kilku dniach sytuacja się zmieniała. Z całej obsady został tylko jeden. A był to pan Olejnik z naszego Wonieścia pod Kościanem. Mówię, bo jestem dumna z tego, że ktoś tam z Kościana był. On nawet jak potem byliśmy już w innym obozie, to przychodził do mojego taty i do niego wciąż mówił „Panie Szefie”. W porządku gość był. Wszyscy odeszli sami i przyszli nowi pracownicy. A nam, całej rodzinie, tata zabronił wstępu do kuchni. Żeby nikt nie myślał, że coś bierzemy. Tata nawet zrezygnował ze swojego deputatu, żeby nie być posądzonym, że coś z kuchni wynosi. Kiedy już się uspokoiła sytuacja w kuchni i wszyscy obozowi mieszkańcy byli zadowoleni, wtedy mogłam wejść do taty do biurka w przejściu do kuchni. Wspominam tą całą sytuację jako szkołę na przyszłe życie. Jeśli żądasz uczciwości od kogoś, to pokaż, jak ta uczciwość ma wyglądać. Taka jest prawda. Taki był mój tata uczciwy. Do czasu likwidacji obozu tata był kierownikiem tej kuchni.

W obozie w jednym z baraków ksiądz ocalony z obozu koncentracyjnego urządził kościół. Razem z koleżanką ubierałam ołtarz polnymi kwiatkami. Innych nie było. Chodziłyśmy po polach i żeśmy zbierały kwiatki. Ksiądz nauczył nas bardzo ładnej pieśni, którą zawsze śpiewaliśmy na końcu każdej mszy. [śpiew:] „O Panie, któryś jest na niebie, / Wyciągnij sprawiedliwą dłoń! / Wołamy z cudzych stron do Ciebie, / O polski dach i polską broń. / **[00:30:00]** O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj, / Do wolnej Polski nam powrócić daj! / By stał się twierdzą nowej siły, / Nasz dom, nasz dom. / O usłysz, Panie, skargi nasze, / O usłysz nasz tułaczy śpiew! / Znad Warty, Wisły, Sanu, Bugu, / Męczeńska do Cię woła krew! / O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj, / Do wolnej Polski nam powrócić daj! / By stał się twierdzą nowej siły, / Nasz dom, nasz sprawiedliwy dom.” Z początku to nam łyzy leciały.

W październiku przyjechał do nas rowerem, około 130 km, mój brat Tadeusz. Wielka uciecha. Tam, gdzie on był, teren ten mieli przejąć Rosjanie. Na drugi dzień pojechali rowerami razem z Różańskim po jego dobytek i szczęśliwie wrócili. Tadeusz dołączył do nas. Początek grudnia 1945: odjeżdżał pierwszy transport z naszego obozu do Polski. W ramach łączenia rodzin mogły jechać tylko pojedyncze osoby. Tym transportem pojechał nasz domownik Mieczysław Różański do Kalisza.

W połowie grudnia zlikwidowano nasz obóz, zawieziono nas do miejscowości Fallingbostel. Olbrzymie koszary, budowane przez jeńców polskich i radzieckich. Cztery dzielnice w lesie. Budowa tych obiektów kosztowała dużo ofiar jeńców polskich, a jeszcze więcej, tysiące jeńców radzieckich. W czasie zimy byli na gołym polu i zanim zbudowali sobie baraki, z zimna umierali. Nie wiadomo nawet, ile tysięcy. Ci, którzy przeżyli, zanim wyjechali, zbudowali na

pobliskim cmentarzu olbrzymi pomnik z płaskorzeźbą nędznych jeńców. A wieńce były zrobione z kolorowych blaszanych kwiatów. To pięknie wyglądało. Otrzymaliśmy lokum w czwartej dzielnicy. Było nas 14 osób na lokalu. Tak jak w poprzednich koszarach, były piętrowe łóżka. Zawsze spałam na piętrze. Raz spadłam nawet z tego. Z początku to raz nawet z łóżka zleciałam. Część z tych osób to znajomi, ale większość nowi. Mieszanka z całej Polski. Mój tata zgłosił się do UNRRA i tam pracował w opiece społecznej. On nie umiał beczynnie siedzieć. Lubił pomagać innym. Bo tam rozdawali dary: wełny, tam różne rzeczy były i tam pracował w tym.

Wciąż martwiliśmy się o Bolesława. Czy jeszcze żyje? Przed Bożym Narodzeniem moi bracia Czesław i Tadeusz poszli do świetlicy pograć w ping-ponga. W domu też mieli stół do ping-ponga i też grali. Umieli. Bo tu w liceum jednak te wszystkie nauki, wszystko to też w Kościanie było. W świetlicy była książka poszukiwań. I tam była wiadomość, że Bolesław Mocek z Dachau poszukuje rodzinę Leona Mocka. Dla nas był to piękny prezent gwiazdkowy. Zaraz po świętach mój brat Czesław wybrał się do Dachau. Kiedy tam zajechał, Bolesława już tam nie było. Już wrócił do domu. W naszym obozie działały się różne sytuacje, ale nie jestem w stanie wszystkiego opisać. [00:35:00] Bo tam mieliśmy i wojsko Maczka i różne rzeczy się działały, o których bym nawet nie chciała tutaj mówić. Nawet przykre rzeczy się tam działały. Jak to w takiej wielkiej tam...

Mogę tylko opowiedzieć o koledze z Kielczewa, powiedzieć o koledze mojego brata Tadeusza. Był to Kaziu Durka z Kielczewa. Pojechał sam przez zieloną granicę do Polski, do Kielczewa. Zobaczył, jak wygląda sytuacja na miejscu. Odwiedził też nasze gospodarstwo. Wrócił do Fallingbostel. A przecież to było bardzo niebezpieczne, bo przecież po drodze nie wiem ile razy może był obrabowany albo coś przez różnych ludzi, bo tak tam było, przez DDR-y jak się jechało. I zdał nam relację, jak wygląda sytuacja. I potem razem z nami transportem wrócił do Kielczewa. To był wielki wyczyn z jego strony. Jak on nam to wszystko opowiadał, to nawet myśmy nieraz pękali ze śmiechu. Tak umiał wszystko ładnie opowiadać.

Zaczęły się transporty do Polski. Nasz transport odjeżdżał z Fallingbostel 5 kwietnia 1946 roku. Jechaliśmy przez Hanower do Wolfsburga. Tam, gdzie jest fabryka samochodów. Wie Pan, gdzie to jest? No. Wsiadaliśmy z pociągu tuż przy kanale środkowoeuropejskim. Po drugiej stronie kanału była fabryka samochodów. Był przykaz, żeby nigdzie nie odchodzić, bo nie wiadomo, kiedy będą wojskowe samochody do dalszego wyjazdu. Chętnie bym tam poszła, ale jakby wszyscy odjechali, ja bym została, a miałam chęć tam iść do tej fabryki. Tam był piękny wiadukt. Przez ten kanał był wiadukt, bo z jednej strony kanału byli robotnicy. To było

miasteczko. Nie wiem, tam było całe takie miasteczko. I tam przez ten wiadukt przychodzili do tej fabryki. Do dzisiaj tam to jest. Bo wnuczka tam była i widziała. Noc w baraku na podłodze. Na drugi dzień, godzina dziewiąta, wyjazd samochodami na stację kolejową w Marienthal. Ładujemy się do towarowych wagonów. Wyszłam na chwilę na międzytorze, czyli z drugiej strony wagonu, bo to były też towarowe wagony, miały z dwóch stron wejścia. I w tym momencie nadjeżdża pociąg i przystaje. W oknie wagonu, a to był pociąg, który jechał od strony Polski... I w oknie wagonu jakiś mężczyzna wykrzykuje do mnie, że Polacy ich wyrzucili. A ja do niego wołam: – *A my po pięciu latach wracamy do domu*. Jego pociąg ruszył i nie wiem, co mi odpowiedział. Jakże to było dziwne, jakie sprzeczności dwie, prawda? Nasz transport ruszył 6 kwietnia 1946 do Polski. Godzina 12 w nocy: przekraczamy granicę DDR. Otwierają się drzwi od wagonu i słyszymy: – *Gierman jest?* Rosjanie. [śmiech] Wołamy: – *Nie*. Że nie ma. Jedziemy przez całe DDR, czasem ze strachem. Bo w drodze była w nocy strzelanina. 7 i 8 kwiecień byliśmy w drodze przez DDR. 9 kwietnia 1946 roku przekroczyliśmy w Zgorzelcu granicę Polski. Jaka uciecha! Że widzimy białe-czerwone słupki graniczne, że widzimy polskiego żołnierza. Nasz pociąg przejechał granicę i zatrzymaliśmy się niedaleko, kilkanaście kilometrów na bocznicę stacji Kaławsk. Obecnie jest to Węgliniec. Wtedy był Kaławsk. Jak żeśmy tam stali, to mi się rzuciło w oczy: na białym tle czarne, takie wielkie nazwy i do dzisiaj to widzę. [00:40:00] Potem ruszyliśmy i przed wieczorem dojechaliśmy do Legnicy. Wsiadamy na peron, a po drugiej stronie peronu stoi transport ze wschodu, z całym inwentarzem. Oni jechali jako osadnicy już cały miesiąc. Czyli jechali tam, żeby tam już na Ziemię Odzyskaną. Na peronie było bardzo zimno i wszyscy poszliśmy z bagażem do tunelu. Z biura repatriacyjnego przyszedł ktoś i prosił chętnych do pisania przepustek, żeby to wszystko szybciej poszło. Obaj moi bracia poszli do pomocy. 10 kwietnia 1946 otrzymaliśmy przepustki i 400 złotych na osobę na drogę. O, tu jest ta przepustka. [F.K.-S. pokazuje przepustkę: AD_MBPKoscian_003_04] 10 kwietnia 1946 roku o godzinie 23 wyjeżdżamy z Legnicy. Przed wyjazdem ostrzeżono nas, żeby z obawy przed kradzieżą nie wpuszczać obcych do wagonu. Wciskali nam się żołnierze radzieccy. Chcieli wchodzić, ale nasi mężczyźni w wagonie stanęli murem i – *Nie ma miejsca*. Bo oni kradli. Niestety, ale tam jedną osobę też okradli. 11 kwietnia 1946 o godzinie 6 rano byliśmy już w Lesznie. O godzinie 7 rano byliśmy już na dworcu w Kościanie. Spotkaliśmy naszych sąsiadów. Między innymi naszą sąsiadkę z przeciwka, panią Przybylską, późniejszą babcię Ani Przybylskiej – aktorki. Ktoś pobiegł po furmankę i z całym bagażem dotarliśmy do naszego domu.

A na progu przy domu witali nas najstarszy brat Mieczysław z żoną Ireną i synkiem Jureczkiem. On miał dopiero 2 latka, może niecałe 2 latka wtedy. I brat Bolesław jeszcze czekał na nas. Nasz powrót był wielkim prezentem dla mojego taty. Urodzinowo-imieninowym. 5 kwietnia, w czasie wyjazdu, mój tata miał urodziny, a w dzień powrotu, 11 kwietnia, były jego imieniny. I dlatego ta data to taka pamiętna. Mieczysław przyjechał z Poznania z rodziną, ale kiedy nasz Kościan był wyzwolony. Przyjechał z rodziną i gospodarował tu, czekając na nasz powrót. Zostawił pracę w Poznaniu, przyjechali, a bratowa to była cudowna kobieta. Ona umiała wszystko zrobić, kochana była. I potem, wszyscy potem wrócili do Poznania do pracy. Byliśmy im bardzo wdzięczni za pomoc. Koniec. Jeszcze powiem. Wszędzie byłem tyle lat. Wszędzie były olbrzymie budowle. Nawet tam, gdzie pracowałam w Niemczech, to były olbrzymie budowle. Olbrzymie budowle. Wszędzie było wszystko wysokie, duże. Wszystkie obozy, wszystko. Jak tu przyjechałam, to jak zobaczyłam: Boże, jakie to nasze Kielczewo jest biedne. Ani zieleni. Dom taki mały jakiś. Tak wszystko jakoś było bardzo, bardzo dziwne. Oczywiście pobiegłam prędko do wujka, do Olków, bo już byli w swoim domu, bo też przedtem byli wysiedleni. No i tak się skończyło.

A.W.: A jak Pani pamięta, jak Pani przyjechała w 1946 roku, jakie były zniszczenia w Kościanie, w Kielczewie?

F.K.-S.: Co było? Co się dowiedziałam? Na naszej posesji dwoje ludzi zginęło. Jak były działania wojenne. [00:45:00] Niemcy, jak uciekali, to brali konie, wozy, ludzi. Myśmy mieli piękną powózkę. Dwa pojazdy: wolant i budkę. Ta budka była kupiona od pana starosty Karpińskiego. Kiedy kupił samochód do starostwa, to mój tata... A że mój tata był tam radnym wszędzie, kupił od niego tą budkę. To było tak pięknie zrobione, wszystko jak w samochodzie. Pięknie, granatowe, wszystko poprzebijane, zupełnie jak w samochodach, elegancko. I miejsce dla stangreta, i wszystko. Wszystko było. Kosztowało 400 złotych. To było masę pieniędzy. Jak żeśmy gdzieś wyjeżdżali, to tą powózką żeśmy jechali. Oczywiście ja musiałam przedtem zawsze ją oczyścić, bo to była moja praca. I oni to wszystko wzięli. Mielśmy nowy dywan, to wszystko... Pewnie mieli jeszcze jakiś wóz, że przykryli wszystko. A tam byli Niemcy znad Czarnego Morza, tam na naszym miejscu. Był mróz, zimno i w tym mrozie oni jechali. Jak zajechali do Drezna, to co tam było? Byłam tam na tym cmentarzu w Dreźnie, bo byłam 3 razy w odwiedzinach w Dreźnie u znajomych Niemców. I tam, nawet nie wiem na którym cmentarzu, gdzieś tam leżą to wszystko. I tam ich zginęło 14 tysięcy chyba wtedy, bo tam ich bombardowali. I oni tym jechali. Myśmy zostali bez żadnej powózki. To wszystko zabrali.

Takie rzeczy były. No ale byliśmy w domu, to było nasze. Byliśmy w domu. No ale to by było następne opowiadanie. Bo potem to już też różne rzeczy się działy.

Myśmy przyjechali w kwietniu. A był gość, który na nas tam nawet donosił w Konstantynowie komendantowi. Ten gość, Zommer, jak się dowiedział, żeśmy przyjechali, to powiedział: „Kielczewski Król przyjechał”. Bo mój tata był tak, że jak coś, wszyscy do Mocka. Wszyscy szli, bo wszystko, wszystko potrafił zaradzić. I co zrobił? Poszedł na UB i naopowiadał takich różnych rzeczy, które po prostu nie były prawdziwe. Z czasów lagru. I na UB... Myśmy nie wiedzieli o tym, że tam takie coś było. Tylko ja go widziałam latem, to było lato. Szłam ulicą Grodzką, a on siedł z KBW, z karabinami i siedł do znajomych do mieszkania. Tam były 2 mieszkania i ja nie wiedziałam, do którego mieszkania wchodzi, bo w jednym wejściu 2 mieszkania. Kaczmarek i Jankiewicz. Kaczmarki byli z nami w Konstantynowie. Kaczmarek miał problem z pewną jedną rzeczą, może nie będę o tym mówić. W każdym bądź razie idę z powrotem z miasta, a on z tamtego domu wychodzi. I co się później okazało? Że był tam u Kaczmarka, u Kaczmarków i chciał, żeby Kaczmarek zeznawał, że komendant w końcu pobił Kaczmarka z powodu mojego taty. Kaczmarki byli w ogóle na innej sali. Myśmy byli na pierwszym piętrze, a Kaczmarek był na parterze. Oni byli na parterze, bo przyjechali w maju dopiero, 24 maja, to myśmy już dawno w obozie byli. No i co było? Tam na terenie obozu był taki wielki warzywnik, ogrodzony tylko palisadą. Wielkie to było. Nie było wolno tam wchodzić. Kaczmarek miał troje synów. Najstarszy razem ze mną składał w 1939 roku egzamin do gimnazjum, czyli że już miał 14 lat. Ja miałam 12, to on miał wtedy 13. [00:50:00] Tej palisady, zawsze ktoś był tam wyznaczony, że pilnował. Jakiś starszy człowiek zawsze chodził, żeby tam dzieci nie wchodziły. A ten chłopak zaczął wchodzić do tego warzywnika. Ten gość go wyganiał, ale on tam swoje. A to był pupilek taty. No i ten człowiek miał laskę i tam go pewno trzepnął tą laską. No więc Kaziu polecał do taty, że ten go bił. Więc pan Kaczmarek przyleciał do tego człowieka i też mu przyłożył. I ten człowiek poszedł do komendanta. On był na stanowisku... Żeby tam chodziło o małe dziecko, to co innego, ale taki duży chłopak. I do komendanta. A komendant wtedy poszukał Kaczmarka i przyłożył Kaczmarkowi. A że to był eksbokser, więc mu się krew polała. I ten chciał, żeby Kaczmarek powiedział, że to było za sprawą mojego taty. Takie coś. A Kaczmarek był uczciwy i powiedział: – *Nie, z tym Mocek nie miał nic do czynienia*. Nic nie załatwił. I byśmy nawet nie wiedzieli, że ściągali z całego powiatu ludzi. Tam był wtedy dobry komendant na UB. Ja nie wiem, zapomniałam... Potem po nim był Gredeczyszyn. Nie wiem czy Pan... O Gredeczyszynie Pan nie słyszał? Ja mam jego... Zielonka opisał jego cały... Mam to nawet. Szkoda, że nie wzięłam tego. Mogę to potem

dostarczyć. Bo ja mam wszystko powycinane i mam w swoich teczkach. I co to chciałam mówić? Aha, że już ten komendant ściągał ludzi z całego powiatu, bo tam byli ludzie z całego powiatu, w tym Konstantynowie. I wszyscy świadczyli dobrze, bo mój tata nigdy nikomu nie ubliżył i starał się wszystko jakoś łagodzić. No i teraz od razu, co było? Przyszedł nowy komendant. I przyszły wtedy wybory „3 x tak”. Wtedy jest to referendum.

Od razu u nas o piątej rano: rąbanie do okien. Przyszedł sam komendant po mojego tatę. Bo on jak przyszedł, to przeglądał wszystkie akta. Tamten odłożył *ad acta*, a ten sobie przeglądał. A że mój tata był związany z Mikołajczykiem, bo to było PSL, Stronnictwo Ludowe. I kułak, bo wtedy już był kułakiem. No więc wtedy takie rąbanie niesamowite. On się u nas zachowywał jak bandyta. Normalnie jak bandyta, co u nas wyprawiał, to niemożliwe było. On przeszedł przez płot, furtka była, on przeszedł przez płot i rąbał nas tam. Nawet nie chciał, żeby mama coś tacie szykowała. Myśmy myśleli, że on tatę wyprowadzi i zastrzeli na progu. Ja obok słałam, płakałam już tam, wyszedł do mnie: – *Cicho być i nie płakać*. Przyszedł brat z innego pokoju, to do niego: – *Cicho być, bo ja was tu wszystkich położę, bo ja was tu wszystkich położę*. Strasznie się zachowywał. I jeszcze potem jak wychodził: – *Światła zgasić i do rana z domu nie wychodzić*. Ale mój brat Czesław ubrał się i poszedł, a szedł do samego UB. I nikogo nie spotkał. Tylko potem jeszcze wtedy przez Kiełczewo chodził stróż nocny. Kiedyś stróże nocni chodzili w nocy; że do pożaru. On mówił, że oni zostawili samochód na Marcinkowskiego, koło Roszaka, a do nas, tam ino 5 domów, przyszli pieszo. I potem nie chcieli nam powiedzieć, gdzie ten ojciec jest. Nie ma go, nie ma go. I tu był jakiś czas, co tata był. Nosiłam tacie tam bułeczki z czymś. Nic nie dostał, bo wszystko w portierni strażnicy zjedli. Nic nie dostał. W końcu podobno tam jeden z tych, w środku z tych dozorców mówi, że nikt o was nie pytał, a myśmy nie wiedzieli, gdzie on jest. [00:55:00] Ale w końcu dostaliśmy wiadomość od niego, że mam przynieść koc do przykrycia. Bo to już był koniec października. To już było zimno. I coś do golenia. Poszłam tam, weszłam do dyżurki, tam do tego, gdzie teraz policja jest. I dobrze. Ten przyjął, zawołał dozorcę. Dozorca wyszedł i po chwili wziął to wszystko i niesie do taty. Po chwili wraca z tym wszystkim, bo go jakiś tam spotkał i nie pozwolił oddać. Wysłam na korytarz, spotkałam tego gościa i powiedziałam: – *Pan jest bez serca. Bo starszemu człowiekowi nie pozwoli pan nawet koca podać*. Tak mu powiedziałam wtedy.

I później tatę wywieźli do Poznania na Kochanowskiego, do Wojewódzkiego UB. I tam ja już byłam raz, tam był 2 miesiące. Byłam tam, żeby bieliznę podać, czy coś tam. Nie, nie wpuścili mnie. Brat pojechał też tam później. Ja jeszcze raz pojechałam. Nic. Dwa miesiące był bez zmiany bielizny, bez niczego. Tylko mówił, że nikt go nie bił, nikt go nie popychał. I później

zbliżała się Wielkanoc. Już rok 1947. I co teraz z tym zrobić? No więc zrobili taki pseudo sąd. Na tym sądzie właśnie był Zommer. Na tym sądzie był. Sam, bez nikogo. Mój tata miał świadków. Przyszli świadkowie i wszystko. I teraz tata go się pyta, tego Zommera: – *A po co pan chodził do komendanta w Konstantynowie?* Bo mój tata miał tam różne funkcje, ale nigdy do komendanta z niczym nie szedł. – *Po znaczki chodziłem.* No, takie coś. I wtedy tata został zwolniony. Tyle czasu niepotrzebnie, tyle mordęgi.

Ja w tym czasie, jak żeśmy przyjechali, to się dowiedziałam od koleżanki, że w Lesznie jest Szkoła Gospodarcza, taka jednoroczna. Więc żeby trochę jeszcze być dzieckiem, pojechałam do tej szkoły. Zdałam egzamin tam. I proszę sobie wyobrazić, że jadąc po wynik egzaminu, tak był przepełniony pociąg, że jechałam w wagonie takim dostawczym. Tam mieli takie stróżówki, takie coś, tam było wszędzie pełno, a ja jechałam na stopniach drabinki do Leszna. Wielka przygoda i z przyjemnością to wspominam. No i cały rok jeździłam. I to w tym czasie właśnie, jak do tej szkoły jeździłam, to tata był aresztowany. Już chciałam zrezygnować ze szkoły, ale moja mama była bardzo za nauką, bo rodzice w ogóle za nauką byli. I mówi: – *Słuchaj tak: my tu z Tadziem...* Bo Czesław już pracował w Izbie Skarbowej. Bolesław już też pracował. Tadeusz był tylko z nami na gospodarstwie. I mówi: – *My tu z Tadziem sobie poradzimy, a ty musisz tam jechać.* Jeździłam tam potem. Mróz. Jakby teraz dzieci tak jechały ubrane, jak ja jeździłam, to by na ulicę nie wyszły. Nie było niczego. W jakichś starych papciach, w czymś tam. No nie było niczego. Mróz. W marcu to jeszcze zaspasy śniegu były na ulicy Dworcowej. A ja takie ino półbuciki tam pasieczkiem coś. I tak było cały rok. Ale cieszę się z tej nauki, bo tam było gotowanie, pieczenie, wszystko różne było sprzątanie i normalna nauka. Polski w granicy siódmej klasy. Wspaniali nauczyciele, wszystko bardzo, wszystko pięknie. Muszę powiedzieć, że uczyłam się dobrze. Dostałam nawet na pożegnanie potem książkę z dedykacją. No i tak wszystko dobrze. Cieszę się, bo tam dużo koleżanek poznałam. No i trochę, trochę byłam dzieckiem szkolnym. Bo to mi wszystko zostało odebrane. No i tak sprawa wygląda. I do dzisiaj ciasteczka, które mam przepis tam. [01:00:00] Ja najpierw, teraz córka piecze, teraz jej koleżanki pieką. Ciasteczka takie dobre. Może nawet kiedyś przyniesie... O, kiwa głową, że przyniesie wam na próbę te ciasteczka. Tak zwane Alberty. Bardzo dobre ciasteczka. No i mam zdjęcia stamtąd, z kuchni mam zdjęcia. Tam żeśmy się uczyły na gimnastyce i krakowiaka, i wszystko.

Potem ja te tańce uczyłam w Kiełczewie. Jak graliśmy naszą sztukę „Ułan i Młynarka”. To ja tam na scenie tańczyłam, to ja tego tańca uczyłam. Hołubiec, ale odbijany jeszcze do tego. To ja wszystkich uczyłam. No i mam zdjęcia jeszcze z tego: w Sokolni żeśmy odgrywali. No ale to

wtedy jak było, Boże kochany, stodoła jeszcze była. Nie było sufitu, do samego dachu, ani mikrofonu, niczego. Tam trzeba było się tak wysilać. Niesamowicie, orkiestra grała. Pan Roszak, który uczył w liceum też śpiewu, był naszym dyrygentem. A inscenizację tam to wszystko, na scenie to robił jego brat, tam wszystko namalowane. Bardzo piękna orkiestra grała, wszystko śpiewy takie. A to był wodewil ludowy, tam śpiewy były na miarę taką, przypuśćmy „Czerwone jabłuszko” czy coś takiego. To taki wodewil ludowy. A pan Tadeusz Kościów, kompozytor, wszystkie piosenki przerobił na śpiewy operetkowe. To bardzo ładna rzecz, mam cały scenariusz jeszcze w domu. Miałam grać pierwszą rolę, Młynarkę, ale niestety mój głos nie nadawał się do tego. Za słaby, bo tam było dużo śpiewów. Więc jednak pani, która miała piękny głos, pani Kopiejewska, pięknie śpiewała. Szkoda, że nie poszła na śpiewaczkę. I ona to śpiewała. A ja byłam już jej... Miałam drugą rolę jako Hanka, jako jej służąca. No, więc coś wspaniałego to było. I mam to wszystko, w razie czego, gdyby ktoś chciał, mogę to pokazać, bo mam te zdjęcia wszystkie. Po występie, bo mieliśmy przedtem próbę generalną, a potem jeszcze było to wystawienie. No i pewnego razu nawet przy próbach to straciłam głos. Bo już głos przesilony. No ale wykurowałam się jakoś. A przy wystawianiu tej sztuki przed każdym aktem poświęcałam się i wypijałam jajko na surowo. Że to niby pomaga na głos. To były moje pierwsze 3 jajka i ostatnie w życiu. [śmiej] Ale się poświęcałam temu, żeby trochę ratować ten mój głos. No, takie różne rzeczy były. To było moje życie.

Po prostu powiem tak: i bibliotekę prowadziłam po wojnie, bo zawiązało się Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Zrobiliśmy zabawę. I był z tego zysk. I na zebraniu rzuciłam takie, mówię: – *Za te pieniądze, co są, może kupimy książki?* Wszyscy się zgodzili. A miałam taką drugą kochaną panią Lodzię Kołcz. Pani Lodzia Kołcz, z domu Jurga. Ona była bibliotekarką w Kielczewie. Nie wiem, czy Pan pamięta, nie? Tu pani Kołczowa była bibliotekarką, nie czasem? To znaczy jeszcze pierwsza żona tego Kołcza policjanta. Także myśmy pojechały obydwie do Poznania. U Świętego Wojciecha żeśmy 2 kartony książek kupiły. I przywiozłyśmy. Te książki były u mnie. Wieczorami... [01:05:00] Założyłam zeszyt i wieczorami... Ale tylko dla członków koła. Tam sobie brali te książki. I potem, jak było takie zjednoczenie tych wszystkich młodzieżowych organizacji, zrobiło się ZMP, mieliśmy wszystko poddawać. Cały ten dobytek. Książki oddałam. Ale zostawiłam sobie tak: „Dywizjon 303”, który mam. I „Między ustami a brzegiem pucharu”. Bo z tego był film kręcony w Racocie. To sobie, do dzisiaj to mam. A żałowałam, że w ogóle tam te książki oddałam. Więc takie różne rzeczy się działy.

Mieliśmy jeszcze grać drugą sztukę, „Studenterię”. Chóralne śpiewy już tam się zaczęły. No ale nie było ludzi do tych pojedynczych osób. Aktorów już nie było. Ja już nie chciałam, bo już nie miałam nawet czasu. Bo tam robiłam coś innego. No i niestety ta sztuka... Ale mam tę sztukę w domu. Tam było „Hej, tam pod zieloną lipą. Het od miasta gwarów.” Takie tam... Ładne to było, ale... To się już nie odbyło. Potem graliśmy... Różne tam były nasze rocznice chóru. Bo przed wojną był chór w Kiełczewie, ale mały chór. Mój tata był prezesem też tam. A po wojnie to już był duży chór. Masę osób nas było. Ale to się w końcu wszystko... A to się żenili, a to coś... Wiadomo. A koło mnie była dziewczyna, która nie miała słuchu. Dyrygent jej nie przesłuchiwał, bo nawet nie było... Było mało altów. Za dużo sopranów. Pan Roszak mówi: – *No, ktoś może się zgłosi.* No więc już go poratowałam i zgłosiłam się do tych altów. A obok mnie była taka, co nie miała słuchu. To ja musiałam tak głośno śpiewać, żebym jej nie słyszała. Bo ona fałszowała. No ale dziewczyna była w tym samym dniu wysiedlona jak nasza cała rodzina. Tam nawet 3 osoby zmarły w lagrze. I jak miało się powiedzieć... A wszyscy się zjechali skądś. Jak powiedzieć: – *Nie przychodź?* A ona się garnęła do towarzystwa. I tak to wyglądało. A ja ją rozumiałam. I takie różne rzeczy się działy. No i tak właśnie było, że moim tatą niepotrzebnie ten paskud... A on był taki zły człowiek, że on potrafił przed własną żoną zamykać jedzenie. Bo potem się dowiedziałam od ich znajomych. Powiadali: – *Ona przychodziła, bo była głodna. A on jej jedzenie zamykał.* Więc to był zły człowiek. Jego syn chodził ze mną do szkoły.

Z Warszawy mam dyplom. Benuś, pokaż ten dyplom. Jak napisałam swoje wspomnienia, to wysłałam do Warszawy. Bo to w gazecie było o wspomnienia. Do Warszawy wysłałam. Napisałam. Jeszcze na ksero jechałam do Mosiny, bo tu pewnie jeszcze nie było ksero. Takie coś. [F.K.-S. pokazuje dyplom: AD_MBPKoscian_003_06] I to wysłałam do Warszawy. I dostałam dyplom z tego. Bo ja mam aby rękopis w domu z tego. Było tak. Ja pisałam. Mój mąż Józef Szymanowski przepisywał to, bo on ładnie pisał a ja byle jak. A to jego pismo przepisywała znowu Bożenka na maszynie. Kradła papier z biura. To znaczy z biura przynosiła papier, bo tego nie było. No bo nic nie było wtedy. I to wysłałam. I pojechałam do Mosiny. Bo widziałam, jak jechałam do Poznania, że tam ksero robią. Tam pojechałam z całym moim pamiętnikiem. I to wszystko wysłałam do Warszawy. Nie chciałam pisać. Mąż powiada: – *Napisz.* Ja mówię: – *Śluchaj, ani nie przeczytają tego.* No po co. Ale on mnie tak męczył: – *Napisz, bo ty potrafisz.* Bo on był matematykiem i on wszystko opowiadanie to zaczynał od końca. [01:10:00] I teraz. Jak to wysłałam, to dostałam dyplom z Warszawy. Mówię: – *No to przeczytali.*

Jak to opowiadanie zobaczył pan doktor Florkowski, bo brat Bolesław mu to zaniósł, kazał umieścić w książce Miłośników Ziemi Kościańskiej. Całe to moje opowiadanie tam jest. Nawet przyjechał do mnie pan Wiśniewski z Czempinia. Przyjechał i pytał się, bo on sobie z tej książki właśnie odkserował to. I pytał się, czy on to może podać gdzieś dalej. Ja mówię: – *Pewno, że pan może.* Mówi: – *Bo ja już miałem od kogoś na jednej kartce napisane, a pani tak poetycko to napisała.* Tak mi powiedział. Mówię: – *Może pan rozdawać jak pan chce. Niech to ludzie wiedzą.*

A.W.: Czy z tych opowieści Pani... Czy one były wykorzystywane w jakichś pracach naukowych?

F.K.-S.: Nie, nie. Tego nie wiem. [do córki Bożeny Hordeckiej:] To chodź tu z tej strony i tu do ucha mi powiedz. No bo ja naprawdę nie słyszę.

Bożena Hordecka: Mamo, Kasia Szymkowiak, która pisała. Przyniosła później mamie w podziękowaniu różę.

F.K.-S.: Aha! Tak, tak. A ja to zapomniałam. Tak, moją pracę brała do pracy magisterskiej Kasia Szymkowiak. Ona miała ten pamiętnik, to wszystko ona na studiach. Ja o tym zapomniałam. Tak. I potem w podziękowaniu różyczkę mi przyniosła. No to ja zapomniałam o tym. Rzeczywiście. No więc muszę wam powiedzieć, że kończę już teraz to swoje opowiadanie. I może mój nieudany śpiew, ale innego głosu już nie mam, bo już prawie kończę 99 lat, więc proszę mi wybaczyć tą moją nieudolność.

A.W.: Było bardzo ładnie.

Paweł Salacki i A.W.: Dziękujemy.

F.K.-S.: Ja również dziękuję.

Transkrypcję sporządziła Agnieszka Wróblewska